

Cyprian Leduc, zaledwie ją ujrzał przed sobą, zrozumiał prędko, że tutaj nie spotka tej ochoły do rozmowy i zwierzeń, jak na ulicy Pixécourt. Ale nie stracił odwagi, uczyniwszy to spostrzeżenie i natychmiast przygotował sobie plan, który niezawodnie musiał się okazać dobrym w rezultatach. Krótką chwilę przypatrywał się pani Langlois przez okienko, wyrżnięte w drzwiach do jej mieszkania i wszedł, zapukawszy poprzednio.

Otęła niewiasta, zajęta gotowaniem obiadu, odwróciła się niechętnie i zmierzyla przybysza surowym spojrzeniem.

— Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam pani — wyrzekł archiwista ugrzecznionym tonem — ale spostrzegłem karikę na drzwiach, a ponieważ szukam mieszkania...

Pani Langlois postąpiła krok naprzód i raz jeszcze zmierzyla go spojrzeniem.

— Jest rzeczywiście pokój do wynajęcia — odpowiedziała niedbale — na piątym piętrze w oficynie.

— A jaka jest jego cena?

— Sto pięćdziesiąt franków kwartalnie, płatnych z góry.

— Oh, do diabła! To trochę za drogo! A możnaby zaraz się sprowadzić?

— Pokój już jest wolny od paru dni.

— Tak. To zmienia postać rzeczy! Czy mógłbym jednak pokój ten zobaczyć?

Pani Langlois wyprostowała się w całej swojej okazałości.

— Oh! Co do tego, mój panie, to musi pan przyjść raz jeszcze. Nie jestem wolna teraz, za godzinę wskażę panu mieszkanie.

— Dobrze — odparł Cyprian Leduc. — Nie nalegam wcale, bo widzę, że pani jest zajęta. Powrócę później, ale, że chcę zachować prawo pierwszeństwa, zostawię pani tę drobnostkę, którą pani zachowa dla siebie, jeżeli dojdziemy do porozumienia.

Mówiąc to, archiwista wyciągnął z kieszeni pięć franków i wręczył je pani Langlois, która przyjęła je z bardzo miłym uśmiechem.

— Trzeba pani wiedzieć — ciągnął dalej Leduc, ośmielony tem spostrzeżeniem — że wyszedłem dziś rano nie tylko w zamiarze wynajęcia pokoju w tej dzielnicy, ale skoro sposobność się nadarza, chcę z niej korzystać. Niech sobie pani wyobrazi, że szukam kogoś, którego adres nie bardzo jest pewny i dotąd tej osoby nie odnalazłem.

— Pan szuka kogoś? — wyrzekła pani Langlois grzecznie, widocznie olśniona hojnością nowego lokatora.

— Tak jest. To jedno wiem, że ten człowiek mieszkał w tej stronie.

— Czy to robotnik?

— Tak jest.

— Jak się nazywa?

— Szymon.

— A czym się zajmuje?

— Jest stolarzem.

Pani Langlois uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Szymon stolarz! — zawołała. — A, to ciekawy zbieg okoliczności, doprawdy!

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Ależ ten pokój właśnie, który teraz jest wolny, to ten Szymon go zajmował przez czas jakiś.

— Z córką swoją?

Twarz pani Langlois spoważniała nagle.

— Ojóż to właśnie! Dotknął pan rzeczy bardzo przykrej. Biedna Gilberta! Takie miłe i ładne dziecko! Miała zaledwie lat trzynaście, kiedy tu z nim zamieszkała, a po tygodniu wszyscy w kamienicy kochali ją jak własne dziecko. Oh, mój Boże! Ile razy o niej pomyślę, to serce mi się kraje z bólesci.

— Cóż się z nią stało?

— Czy to kto może wiedzieć!

— Czyżby Szymon opuścił to dziecko?

— Ej, mój panie, a kto powiedział może, że to była jego córka? Ja w to nie wierzyłam nigdy. Najprzód nie była wcale do niego podobna i taka delikatna, jak prawdziwa panienka. Szymon zajmował pokój, a mała spała w sionce, tak zimnej, że zamarznąć tam mogła. Żyli tak jakoś kilka miesięcy, aż jednego dnia Gilberta znikła zupełnie.

— A Szymon?

— On! Czy myśli pan, że się tem niepokoił? Powracał, jak dawniej, co wieczór do domu pijany do nieprzytomności, a czasem to i na noc nie wracał.

— Jak pani sobie tłumaczy to nagłe zniknięcie dziecka?

— A cóżby, mój panie! Szymon nie był głupi człowiek. Mała była ładna... Pewnie znalazł jakiego nędznika, który mu dosyć pieniędzy dał za nią!

W głosie pani Langlois brzmiało tak szczere i głębokie oburzenie, że Leduc czuł się wzruszony.

— Może pani przesadza — rzekł łagodnie. — To byłby rzeczywiście czyn bardzo brzydki!

— Ah! Czy to się nie widzi, niestety, codziennie — odparła pani Langlois. — Mój panie! Dosyć się ja takich okropności napatrzyłam w życiu! A to, co tu widziałam...

— Co pani takiego widzieć mogła?

— Pan nie jest pierwszy, który pragnie zasięgnąć wiadomości o tym człowieku — odparła wymijająco pani Langlois.

— Ah! Któż taki pytał się o niego jeszcze?

— Kobieta.

— Doprawdy?

— Oh! Tej nie potrzebowałam się pytać, kim jest...

— Młoda?

— Młoda i ładna, w wielkim kapeluszu i w jedwabnej sukni, którą zamiałała moje schody.

— A więc pytała się o Szymona?

— I o niego — i o małą.

— Cóż pani o tem pomyślała?

— Mój panie! Nie tak trudno odgadnąć taką zagadkę. Ta, co tu była, to nic dobrego, chociaż miała na sobie koronki i pierścienie. Biedna Gilberta! Pomyśleć, że wpaść mogła w takie ręce! Nie mogę bez irytacji o tem pomyśleć. To też może sobie pan wyobrazić, jak ją przyjąłem...

— I nie powróciła więcej?

— Oh, nie! Musiała zrozumieć, że nie obejdę się z nią po raz drugi tak grzecznie...

Cyprian Leduc zamilkł na chwilę. Czoło jego zbiegło się w gęste zmarszczki, a w oczach ukazał się wyraz niepokoju.

Po jakimś czasie jednak podniósł głowę i spojrzał życzliwie na panią Langlois.

— Jestem bardzo szczęśliwy, że mogłem trochę porozmawiać z panią — rzekł uprzejmie. — Ale czas mija, a ja mam wiele jeszcze do załatwienia do wieczora. Powrócę jeszcze i pomówimy o tem wszystkim.

— Kiedy pan zechce.

— I gdyby się pani coś nowego dowiedziała o tym Szymonie, lub Gilbertce...

— To powiadomię pana — dokończyła żywo pani Langlois. — Niech pan będzie spokojny!

Cyprian Leduc wyszedł zadowolony, ale dnia tego nie powrócił na ulicę Romainville. To, czego dowiedział się od dozorkczyni domu, zainteresowało go silnie i długo w nocy rozmyślał, kto być mogła ta młoda kobieta, dopytująca się o Szymona i zajmująca się losem małej Gilberty.

X.

Upłynęło dni kilka. Pewnego dnia pułkownik Robert wyszedł o godzinie dziesiątej rano z Grand-Hotelu, gdzie zatrzymał się jeszcze, wsiał do doróżki i kazał się zawieźć na ulicę Montmartre. Na ulicy tej znajdował się dom duży, mieszczący się w ogrodzie, dzielący się na kilka obszernych i widnych sal. Dom ten był znaną w mieście szkołą fechtunku, do której uczęszczali młodzi ludzie, należący do najarystokratyczniejszych rodzin.

Kierownikiem tej szkoły był profesor X., osoba stęposiadająca rozległą sławę i szacunek ogólny. Kiedy pojedynek jaki miał mieć miejsce, nie zdarzyło się nigdy, aby nie korzystano z jego doświadczenia i mistrzowskiej rutyny. Umiał on znaleźć słowa wzbudzające odwagę w młodych debiutantach, niepewnych jeszcze swojej ręki i siły — i radę, której ulegali chętnie ludzie już dojrzały, ale doświadczeni. Nie był właściwie profesorem, ale przyjacielem swoich uczniów, którzy prawie bez wyjątku, nazywali go krótko „panem Augustem“.

W dniu tym znajdowało się około piętnastu osób w jednej ze sal, jasnej i obszernej. Byli to po największej części młodzi ludzie, pomiędzy którymi trzech poważniejszego wieku i wyglądu. Niektórzy mieli twarze zakryte maskami i z floretami w rękach oddawali się systematycznym ćwiczeniom — inni znowu pod okiem „pana Augusta“ uprawiali się w strzelaniu do celu. Kilku zaś rozmawiało na uboczu, przyglądając się towarzyszom.

Pomiędzy tymi ostatnimi znajdował się baron Bonnet d'Esclairs, który wiódł bardzo szerokie życie w Paryżu, chociaż nie wiedziano zupełnie, skąd czerpie środki potrzebne do tego i Jerzy Bertout, przyjaciel jego, chłopiec dosyć poważny, zajmujący tymczasowe stanowisko adwokata spraw kryminalnych.

Rozmowa pomiędzy tymi młodymi ludźmi, tocząca się koło przedmiotów dosyć banalnych, stawała się coraz bardziej monotonna, kiedy w drzwiach sali ukazał się gość nowy. Był to pułkownik Robert. Nikt go tu nie znał i nie widziano go nigdy w szkole pana Augusta, to też z wielkiem zaciekawieniem obecni spojrzeli na nowego przybysza.

Pułkownik Robert przedstawiał się doskonale — ubrany był bez zarzutu, z wyszukaną wytwornością, ruchy miał zręczne, chód śmiały. Pierwsze więc wrażenie wypadło korzystnie i utwierdziło się jeszcze, kiedy dostrzeżono śmiałość jego spojrzenia i energię, malującą się na ogorzałej twarzy.

Pułkownik, nie czując się bynajmniej skępowany licznymi spojrzeniami, skierowanymi w jego stronę, podszedł na środek sali i dostrzegłszy profesora, który wystąpił na jego spotkanie, skłonił się mu lekko, lecz grzecznie.

— Pan August? — zapytał krótko.

— Do usług pana.

— Poznałem kilku uczniów pana, podczas pobytu mojego w Indyach i chciałem bardzo zapoznać się z panem — oświadczył z prostotą.

— Jestem do usług pana — powtórzył pan August.

— Oto mój bilet wizytowy — ciągnął dalej pułkownik. — Kiedy powracałem z Bombay do Europy, strzelałem dosyć dobrze, ale podróżowałem dosyć dużo od tego czasu i straciłem wprawę tak co do strzelania, jak i władania bronią.

— Czy chce pan spróbować? — zapytał uprzejmie pan August.

— W tym celu właśnie przychodzę!

— A więc, panie pułkowniku, służę panu, niech tylko pan sobie dogodną broń wybierze!

Pułkownik Robert podszedł natychmiast do ściany, na której wisiały szpady i florety różnego gatunku, wybrał jeden z nich i powrócił do profesora.

Podobne wydarzenie mogło obudzić zainteresowanie i ciekawość zebranych. Wszyscy porzucili swoje ćwiczenia i skupili się w jednej części sali w oczekiwaniu gorączkowemu.

Szermierka rozpoczęła się. Obydwaj przeciwnicy, po formalnościach odbytych, skrzyżowali szpady. Głębokie milczenie zaległo grupę, przyglądającą się, tak, jak gdyby chodziło o prawdziwy pojedynek i po pierwszych ruchach już można było spostrzedz, że profesor miał przed sobą godnego siebie przeciwnika.

Walka trwała dwie lub trzy minuty, utrzymując się w równych szansach dla stron obydwóch, poczem, ku zdziwieniu obecnych, pan August dotknął lekko końcem szpady batystowej koszuli pułkownika, który natychmiast opuścił swoją broń ruchem, pełnym galanterii.

— Dotknęty! Zostałem dotknięty — zawołał, uśmiechając się. — Miałem słusność, mówiąc panu, że nie jestem teraz pewny swojej ręki. Muszę wziąć kilka lekcji od pana, aby powrócić do dawnej wprawy.

Mówiąc to, pułkownik Robert oddał szpadę swojej chłopcu posługującemu i poszedł włożyć ubranie.

Jednakże profesor pozostał na placu zamyślony i zmieszany cokolwiek, obserwując swojego przeciwnika uważnie. To, co się stało, nie wydało mu się naturalnem i nie wątpił, że pułkownik dobrowolnie dał się pokonać. Ale dlaczego? W jakim celu? Naprawdę pan August siłił się, aby wytłumaczyć sobie tę tajemnicę. Był tak zamyślony, że nie zauważył nadejścia pułkownika. Dopiero, kiedy ten dotknął jego ramienia, profesor drgnął i oprzytomniał.

— Dziękuję panu za tę pierwszą lekcję — wyrzekł uprzejmie — i do jutra, jeżeli to panu nie przeszkodzi w niczem.

— Tak, do jutra — wyszeptał pan August, nie mogąc jeszcze opanować zdumienia.

Pułkownik Robert miał już skierować się do wyjścia, kiedy zauważył ciekawe spojrzenia pozostających szermierzy. W niektórych wyczytać było można szczerą sympatię dla tego człowieka, który się okazał tak świetnym w władaniu bronią, dawno już nieużywaną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)